

22 lutego 2008, dzień ataku szczytowego i dzień następny – zejście do bazy

Obóz II – Plaza Colera, 5970 m n.p.m. Godzina 4 rano, otwieram oczy, oczywiście ciemno, zimno, wszystko w namiocie oszronione, strasznie mi się nie chce wychodzić ze śpiwora, ale trudno, trzeba wstawać i podjąć ten jeszcze jeden wysiłek. Właściwie najgorsze na tej wyprawie jest to poranne wstawanie – nie dość, że ciemno i zimno, to jeszcze mój organizm nie funkcjonuje dobrze o poranku i wolno się rozkręcam. Ale na szczęście nie było za dużo takich dni. Noc na prawie 6 tysiącach przespałam w miarę dobrze, więc szybko przekonuję samą siebie, że nie ma wyjścia, trzeba wstawać i iść w górę.

„Maciek, wstajemy” – budzę kolegę, z którym dzielę namiot w Colerze.

„Naprawdę już musimy?” – chyba nie tylko ja mam takie dylematy...

„No dobra, właściwie to możemy dać sobie jeszcze pół godziny” – myślę sobie i zapadam w letarg.

Po 3 minutach przychodzi jednak otrzeźwienie. Jakie pół godziny?! Nie mamy czasu, jak chcemy wyjść o 6, to musimy się zbierać.

Topienie śniegu trwa przeraźliwie długo, klnę w myślach, że nie zrobiliśmy tego poprzedniego wieczoru, ale trochę nie było jak. W ogóle wszystko zajmuje nam w tych warunkach strasznie dużo czasu, buty i raki zakładam chyba z 20 minut.

Wreszcie o 7 rano udaje nam się wyruszyć. Idziemy w trójkę – Maciek, Kuba i ja. Mamy do pokonania prawie tysiąc metrów w pionie. Już od pierwszych kroków nie jest łatwo, bo wyjście z Colera od razu zaczyna się podejściem, dość ostrym i wielce zniechęcającym. Ręce marzną od trzymania kijków, mimo że póki co na pogodę nie możemy narzekać – jest wprawdzie zimno, ale prawie w ogóle nie wieje. Oddechu brak, ale jakoś pniemy się w górę. Maciek co 5 minut pyta, czy wszystko w porządku, a ja sama nie wiem, co czuję. Zdecydowanie nie jestem szczęśliwa, słońca cały czas brak, a podejście nie ma końca. Do tego wszystkiego moja zbyt bujna wyobraźnia sprawia, że przed oczami stają mi wszystkie możliwe zagrożenia wysokogórskie (jesteśmy już na ponad 6 tysiącach), wmawiam sobie ponadto, że jestem źle zaaklimatyzowana i marne mam szanse na wejście na szczyt przy stylu, który aktualnie prezentuję... Maciek jakoś nie zagrzewa mnie do walki i tak sobie razem trwamy w tej niedoli – trzy kroki w górę, odpoczynek, głęboki oddech i walka z przemożną chęcią cofnięcia się. Która w rezultacie zwycięża... Podejmujemy trudną decyzję, że wracamy, żal straszliwy, ale cóż, widać

jesteśmy dziś za słabi. Może jeszcze jutro będzie szansa, a jak nie to, to wróce tu za rok – tak się usprawiedliwiam.

Po pół godzinie jesteśmy w namiocie, ściągam buty, kładę się i myślę, co ja takiego zrobiłam. Chyba wysokość odebrała mi rozum, już wiem, że źle zrobiłam, że zbyt łatwo się poddałam i już przeraźliwe żałuję. Wtem słyszę na zewnątrz jakąś krzątanicę i dochodzi mnie głos Lidera: „Ej, Asia, co się tu dzieje?! Wstawaj, i to już, i na górę!” Próbuję opowiedzieć o moich rozterkach, ale skoro Lider tu przyszedł, to nie po to, aby ze mną negocjować. Szybko więc zakładam buty i raki i zapinam kurtkę. O dziwo, tym razem znacznie sprawniej mi to idzie: godzina już nieco bardziej sprzyjająca, chyba się wreszcie obudziłam, jest nieco cieplej, no i nie bez znaczenia jest świadomość, że Lider wszystko obserwuje czujnym okiem ☺

O 9 rano ponownie ruszam w górę, plując sobie w brodę, że po cholerę się cofnęłam, już powinnam być znacznie wyżej, a nie po raz kolejny pokonywać to upiorne podejście. Lider zapewnia, że mimo stosunkowo późnej pory mamy szansę wejść – i to mnie trzyma przy życiu. Nadal jednak nie idzie mi się za dobrze i mam świadomość, że jestem zbyt wolna – znowu 3 kroki w górę i przerwa na oddech. Dopiero około południa jestem w Independencji i tu Lider potwierdza moje obawy: „Za wolno idziesz, przed nami jeszcze długi trawers, a potem żleb Canaletta, w tym tempie, to na szczycie masz szansę być ok. 18.” A ponieważ doskonale wiem, że eufemistyczne określenie „szczyt o godz. 18” znaczy tyle, że nie wejdę w ogóle (za późno, na szczycie trzeba być najpóźniej o 17), to nagle wstępują we mnie nowe siły. Bo jak to, tak daleko zaszłam i nagle mam się cofnąć (znowu)?? Wtedy właśnie takiej „mobilizacji” trzeba mi było, bo po tych słowach zebrałam się w sobie i trawers przeszłam w „regulaminowym” czasie 2 godzin, żleb Canaletta też „regulaminowo” w 2 godziny i o godz. 16 stanęłam na szczycie. Zmęczona, ale wreszcie uśmiechnięta. Finalnie czas miałam całkiem dobry – 7 godzin i nawet parę osób po drodze udało mi się wyprzedzić, mimo że przez długi czas obserwowałam ich z dołu, zazdroszcząc, że już są tak wysoko. Już tak mam – gdy widzę szczyt, to dostaję speeda. A nawet gdy nie widzę, ale wiem lub choćby przeczuwam, że będzie niedługo ☺

Na górze uściski, gratulacje, trochę zdjęć – widoki żadne, bo pogoda zaczęła już się psuć. Ale to był dopiero przedsmak tego, co miało nastąpić za jakiś czas. Na szczycie pobyłam może ze 20 minut i dalej w dół, wiadomo, że nie sam szczyt się liczy, ale i to, żeby bezpiecznie zejść. Schodziłam początkowo sama, Rysiek został jeszcze na górze, aby poczekać na Kubę, umówiliśmy się, że zaczekam na nich pod Canalettem, gdzie zostawiliśmy plecki. Schodziło mi się tak sobie – niby nie było trudno, ale byłam zupełnie sama, nikogo wokół,

pogoda zaczęła robić się niewyraźna, zaczął padać śnieg. Wprawdzie szłam ścieżką, ale przez to, że nie było widać żadnych ludzi, ani na górze, ani na dole, to wcale nie byłam pewna tej drogi. Znowu włączyła się wyobraźnia i przypomniała o wypadkach górskich związanych z pomyleniem drogi... Dotarłam jednak do tej skały, odnalazłam nasze plecaki, a w nich herbatę i jakieś ciasteczka, posiliłam się i nie przeczuwając jeszcze nic złego, czekam na Kubę i Ryśka. Czekam i czekam, zmarzłam, wcale nie jest miło, szczególnie, że jest coraz później, a śnieg pada coraz bardziej, co na tej wysokości (ok. 6600 m n.p.m.) nie wróży dobrze... Z góry schodzą kolejni ludzie, a ich ciągle nie ma. Musiałam mieć dość niewyraźną minę, bo ktoś z innej grupy informuje mnie, że moim kolegom chyba coś się stało, jakiś wypadek, akcja ratunkowa i raczej prędko nie zejść. No pięknie, myślę sobie, a ja nawet radiotelefonu nie mam. Pożyczam jednak jakiś od przygodnie poznanego wspinacza i próbuję połączyć się z Ryśkiem – bezskutecznie, bo to inny typ radia niż my używamy. Decyzja – muszę schodzić w dół, skoro Kuba jest z Ryśkiem, to zakładam, że jest bezpieczny, poczekam na nich w Colerze. Już jestem gotowa do dalszej drogi, gdy z góry nadchodzi Rysiek, asekurowający, z pomocą jakiegoś szwajcarskiego przewodnika, staniającego się na nogach Kubę – wysokość plus całodzienna wspinaczka dały o sobie znać i zejście okazało się za trudne. Oddycham z ulgą, że jednak są tutaj, otrzymuję potwierdzenie od Ryśka, że mam schodzić samodzielnie, więc idę. Śnieg ciągle pada i to w takim tempie, że momentalnie zasypuje ślady idących przede mną. Droga, którą zśliśmy w górę, już nie istnieje. W świeżym śniegu idzie się nie za dobrze, prawie gubię jednego raka, ale przytomnie wygrzebuję go ze śniegu i ponieważ nie chce mi się w tych warunkach zatrzymywać i tracić czasu na jego ponowne zakładanie, dalszą drogę pokonuję w jednym. Jakby tego było mało, w pewnym momencie gubię też łapawicę (dość nieroztropne to było, że nie przełożyłam tasiemki przez nadgarstek, co by mnie uchroniło przed takimi przygodami) i zanim docieram do człowieka, który gdzieś tam poniżej ją złapał, chyba z 15 minut idę z gołą ręką. Obyło się bez odmrożeń.

Na wysokości Independencji dochodzą do mnie Kuba z Liderem, Kuba na niższej wysokości czuje się już OK. i może schodzić samodzielnie. Tylko że pogoda jest coraz gorsza, wzmaga się zamieć śnieżna, widoczność jest może ze 20 m., nie widać żadnych śladów. Gdyby nie to, że Lider zna drogę doskonale (23-ci raz na szczycie do czegoś zobowiązuje), to chyba do dziś byśmy tam krążyli. Przestroga niech będzie wypadek dwójki Polaków, z którymi przez chwilę schodziliśmy i którzy zgubiwszy w tej zamieci drogę do Berlina, mieli przymusowy biwak, praktycznie bez niczego, w burzy śnieżnej na wysokości 6000 m. Rysiek jednak precyzyjnie pokierował nas do obozu, co

chwila poganiając: „Asia, Kuba, pospieszcie się, to nie jest już śmieszne, w tej chwili naprawdę walczymy o życie! Jeszcze tylko 200 m!” Jakie 200 m, myślę sobie, przecież tu nic nie widać i kompletnie nie wiadomo, gdzie jesteśmy! Potem 100 m., 50 m. i nagle faktycznie, ukazał się nasz namiocik, targany wiatrem, ale przynajmniej stoi. Szkoda, że w środku wszystko zasypane śniegiem (koledzy, którzy schodzili na dół, widocznie nie przeczuwali takiej zmiany pogody i nie zamknęli sypialni na suwak...), ale i tak przecież nie mamy wyjścia – tak jak stoimy ładujemy się do środka, zdejmujemy tylko buty i do śpiworów. Na szczęście w środku były suche. Na zewnątrz szalała taka zamieć, że nie było szans na ugotowanie czegokolwiek, zresztą bałagan i ścisk panował tam nieopisany, ledwo się sami zmieściliśmy w tym namiocie, a co tu mówić o topieniu śniegu czy poszukiwaniu garnków.

Mimo zmęczenia wiatr nie pozwalał zasnąć tak łatwo, a gdy wreszcie zasnąłam, to wcale nie był to spokojny sen spełnionego człowieka. Jakoś jednak dotrwałam do rana, z nadzieją, że rano będzie lepiej, a tymczasem od razu, gdy otworzyłam oczy, to już wiedziałam, że lepiej raczej nie jest, bo jakoś tak dziwnie ugina się nasz namiot... Śniegu napadało przez noc tyle, że w namiocie ledwo można było siedzieć wyprostowanym. Wyczołgałam się na zewnątrz i zobaczyłam, że zasypało nas do połowy namiotu, a wszystko, co zostawiliśmy na zewnątrz jest głęboko pod śniegiem. Przez chwilę miałam myśl, że ja tu zostaję i czekam na jakiś rescue team, może ktoś wyśle po mnie helikopter albo przynajmniej muła ;-). Pozytywne było to, że wreszcie przestało tak wiać (moje modły musiały zostać wysłuchane) i wyszło słońce. W tych niełatwych warunkach musieliśmy zwinąć namiot, wszystkie pozostałe w nim graty i zejść z tym wszystkim na dół. Niby to tylko niecałych 500 m. w dół, ale zmęczenie po poprzednim dniu, źle przespana noc, ciężki plecak, a do tego świeży śnieg, sprawiły, że ten poranek był chyba trudniejszy niż samo zdobywanie szczytu. Dopiero po dotarciu do Nido poczułam się bezpiecznie i powrócił jakiś umiarkowany optymizm, pozwalający uwierzyć, że może przeżyję jeszcze ten jeden dzień.

W Nido czekał na nas Lider z ciepłą herbatą i zupką, które wraz z około godzinnym odpoczynkiem dały mi siłę na zejście do bazy.

No cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo i przyjemnie. Wyjeżdżając na tę wyprawę niby uświadamiałam sobie ryzyka związane z górami wysokimi (a moja wyobraźnia nieustannie mi o nich przypominała), ale dopiero takie namacalne otarcie się o sytuację naprawdę trudną pozwoliło mi zrozumieć, że w takich górach nie ma żartów i że niewiele trzeba, żeby zrobiło się śmiertelnie niebezpiecznie. Jak każda góra, nawet nie tej wysokości, Aconcagua w złych warunkach stanowi poważne zagrożenie i trudno mi

uwierzyć w słyszane przed tym wyjazdem opowieści o tym, jak to można na nią wbiec w trampkach. Wprawa jest obiektywnie trudna – chociażby z uwagi na wysokość (prawie 7000 m. n.p.m.) oraz pokonywane „w jednym rzucie” odległości i przewyższenia (w przybliżeniu: 2800-4300-5500-6000-6960) i związane z tym znaczne ryzyko choroby wysokogórskiej czy innych dolegliwości wysokościowych. Niby dbaliśmy o właściwą aklimatyzację, ale nie dla wszystkich okazała się ona wystarczająca. Trzeba zakładać / likwidować obozy, co oznacza, że trzeba wynieść na górę sprzęt i żarcie, a potem to wszystko znieść. Bywa zimno, bywa, że mocno wieje, bywa, że boli głowa, a każdy krok jest mega wysiłkiem. Ale to wszystko staje się zupełnie nieważne po zdobyciu szczytu. A raczej po bezpiecznym zejściu w dół, bo wiadomo, że szczyt to połowa sukcesu ☺